2 Tom. — Nr. 2. 15 Luty 1914.

MURZYNEK.



WYDANIE

Sodalicyi Św. Piotra Klawera

dla misyi afrykańskich.

Rocznie 12 zeszytów. Cena: 1 Kor. (1 Mk.; 50 kop.; 25 cent.)

MURZYNEK, miesięcznik katolicki illustrowany, dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, włoskim, niemieckim, węgierskim i słoweńskim.

Prenumerata roczna z przesyłką:

1 korona, (= 1 Marka = 50 kopiejek = 25 centów ameryk.). — Cena pojedyńczego numeru 10 halerzy.
Adres: Administracya „Echa z Afryki", KRAKÓW, UL. ŚW. ANNY 4.

Ofiary można przesyłać albo do Krakowa, albo wprost do generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera, hr. *Maryi Teresy Ledóchowskiej*, **Roma,** via dell' Olmata 16.

Spis rzeczy (Nr. 2): Pierwszy Maszona chrześcijanin, przez O. Boos'a T. J. — Odwiedziny ambulatoryum w Wahallah (Egipt). — Dwa budujące zdarzenia, przez O. Borrel'a, Misyonarza z nad Zambezy. — Moja ucieczka przed bożkiem, opowiadanie O. Limbrocka. — Salem, mały Kabyl, sierota (dokończenie).

Illustracya: Siostra Teresa od Dzieciątka Jezus, zakonnica »Czarna« przy opatrunku. (Madagaskar).

Dalsze adresy dla przesyłania prenumeraty i ofiar:

Warszawa: Administracya „Przeglądu Katol.", Warecka 15.
„ Pan Rokicki, przy kościele WW. Świętych.
Siedlce: p. Jan Sapieha, ul. Stodolna 9, m. 1.
Petersburg: „Księgarnia katolicka" Newski 34, m. 13.
Wrocław: filia Sodalicyi św. Piotra Klawera, Hirschstr. 33.
Poznań: p. Em. Laskowska, Wienerstrasse 1.
Zabrze-Nord (Górny Śląsk): p. M. Ottka, Kronprinzenstr. 45.
Bydgoszcz: p. Roesmer, Alte Pfarrstr. I.
Ameryka — Filadelfia: „Odrodzenie" Allegheny and Cedar Str. Philadelphia Pa. N. America.



Pierwszy Maszona chrześcijanin.

PRZEZ O. BOOS'A T. J.

Po długiej przeprawie jeziorem i blizko trzymiesięcznej podróży wozem zaprzężonym wołami, dotarliśmy wreszcie do naszej placówki misyjnej w kraju Maszonów, z końcem lipca 1892 r. Zastaliśmy tam jednak tylko dzicz i pustkowie, a niezamieszkała chata kafryjska była jedynym widomym znakiem ludzkiej działalności na rozległym płacie ziemi, danym nam przez rząd do zagospodarowania. Natychmiast wzięły się do roboty wszystkie ręce dla wzniesienia piętrowego domu na słupach o oknach, obciągniętych perkalem i dachu ze słomy. Do tej pracy powołaliśmy mnóstwo czarnych robotników, ażeby w ten sposób zbliżyć się do Kafrów, którzy nie byli jeszcze osiedleni na gruncie naszym.

Wielu z tych robotników należało do nieco dalej osiadłego plemienia Mtokos'ów, dzikszych i bardziej wojowniczo usposobionych od naszych bezpośrednich sąsiadów. U mężczyzn tego plemienia piękność zasadzała się na fantastycznem trefieniu włosów, u kobiet zaś na dziwacznem tatuowaniu ciała. Pomiędzy naszymi Mtokosami znajdował się chłopiec,

może piętnastoletni, zwany Minyonyam, który swą uległością dodatnie czynił wrażenie i długo w służbie pozostawał, podczas gdy prawie wszyscy inni, odchodzili po jednym lub dwóch miesiącach. Robotnicy ci rozpoczęli codzienną naukę katechizmu. Ponieważ Maszoni na bardzo niskim stoją poziomie i nawet u Kafrów są w pogardzie, kilku naszych misyonarzy mniemało z początku, iż trzeba ich najpierw przyzwyczaić do porządku i pracy, jednem słowem do zewnętrznego życia chrześcijańskiego, zanim można im będzie wykładać wzniosłą naukę naszej wiary św.

Minyonyam pouczył ich niebawem najlepiej swym przykładem. Modlił się on z wielką pobożnością, podczas nauki cały zmieniał się w słuch, miał głębokie zrozumienie prawd wiary św. i zachowywał się wzorowo. Ponieważ chciwość jest główną wadą naszych Kafrów, w kształceniu jego kładziono główny nacisk na bezinteresowność uczuć. Raz został zawezwany późno wieczorem i otrzymał polecenie odniesienia ważnego listu na stacyę pocztową, odległą o pięć mil drogi. Zachodziła obawa chybienia poczty, gdyby czekano z poselstwem do następnego ranka, pomimo to pozwolono przenocować chłopcu w jednej z przydrożnych wiosek. Noc była ciemną, zimną i wietrzną, a okolica niepewną, z powodu lwów, krążących dokoła. Żaden z Kafrów nie byłby z pewnością podjął się tego poselstwa. Minyonyam wyruszył w drogę bez szemrania, a ponieważ we wsi znalazł ludzi już śpiących, poszedł dalej aż do stacyi, dokąd przybył dopiero o drugiej godzinie po północy uszczęśliwiony, iż udało mu się zastać jeszcze pocztę. Wróciwszy nie otrzymał ani szczypty tytoniu w nagrodę, której się też nie domagał, podczas gdy kto inny byłby zażądał swego «basela» (podarunku). Do Chrztu św. nie darowano mu sur-

duta, lecz pożyczono tylko, z czego zupełnie zdawał się być zadowolony. Zanim jednak został chrześcijaninem, niejednej Bóg zażądał od niego ofiary. Był on pierwszym z naszych uczniów, który pojął naukę chrześcijańską nietylko umysłem, ale wprowadził ją w życie i po długiem przygotowaniu prosił usilnie o Chrzest św. i o imię Józefa. Powstało tymczasem na naszem terytoryum kilka wiosek pogańskich, których mieszkańcy obowiązani byli przychodzić do nas na naukę niedzielną. Lecz ci potrzebowali dużo czasu, zanim łaska przeniknęła ich serca. Mieli oni z początku wielkie uprzedzenie do Chrztu św. i gdy Minyonyam postanowił zostać chrześcijaninem, odmówiono mu jego narzeczonej, córki naczelnika Kuoko. Było to ofiarą dla obojga młodych, lecz zwyciężyła łaska. (C. d. n.)

ODWIEDZINY AMBULATORYUM*)

W WAHALLAH (EGIPT).

Perlista rosa i orzeźwiająca świeżość poranku ustąpiły miejsca palącemu żarowi słońca. W Wahallah, ożywiony panuje ruch. Na wstępie arabskiej dzielnicy istnieje, pod opieką Zakonnic, przytułek dla chorych wszelkiego rodzaju. Wybiła właśnie godzina ½ do 8-mej. Z poza zamkniętych drzwi ambulatoryum daje się słyszeć wołanie: »Ali, eff-el-bab!« — (Ali, otwórz drzwi!).

Do otwartych podwoi wciskają się natychmiast czekający tłumnie chorzy, przyczem powstają bójki,

*) *»Echo des Missions africaines de Lyon«.*

jedni popychają drugich, rozdzierają sobie nawzajem »galabias« (suknie), gdyż każdy chce być pierwszym. Częstokroć energicznych trzeba używać środków, ażeby przywrócić zakłócony spokój. Czasami traci się zupełnie głowę; w sali krzyczą dzieci, jak gdyby je ze skóry obdzierano, w podwórzu niemniej hałaśliwie zachowują się dorośli.

W końcu jakich piętnastu, do dwudziestu, chorych wchodzi. Daleko byłoby przyjemniej mieć ich mniej dokoła siebie naraz, lecz należy z potrzeby uczynić cnotę! Niejedna biedna kobieta staje przed nami, niosąc jedno dziecko na plecach, drugie na rękach, a trzecie czepia się jej sukni. Dla nas — tem lepiej — troje od razu. Rozpoczyna się konsultacya:

— »Malek enti?« (Co ci jest?) zapytuję najbliżej stojącą egipcyankę. Ukazuje mi biedne nóżki dzieciątka, jedną przedstawiające ranę....

Ile masz dzieci? — zapytuję ją znowu. — Nie jestem matką tego dziecka — odrzekła kobieta — jego matka miała dwunastu synów, a oto trzynasty, lecz tamci wszyscy są już na »Turba«, (na cmentarzu).

— Spróbujemy uratować przynajmniej tego ostatniego.

Zwracam się potem do następnej: »Una enti? A ty?« Zapytana kobieta podaje mi swą dwumiesięczną, konającą już prawie dziecinę. Zdawało mi się, iż na dziąśle dziecka spostrzegłam coś w rodzaju małej ranki — gdy się dotknęłam, wypadł z niej — malutki ząbek, zjawisko zaiste niezwykłe u dziecka w tym wieku. Rączki jego pokryte były wrzodami. Biedne dziecię!.... Nie dało nam się zatrzymać; pospieszyło zamienić to życie ziemskie na lepsze.

Przychodzi następnie kolej na innego chorego. Pokrywające go wrzody przywodzą na myśl Joba dotkniętego ręką Pańską. Widok tego biedaka przejmuje do głębi. Opatruję go jak tylko mogę najstaranniej; odchodzi, błogosławiąc Siostry. Inny znowu pokazuje nam olbrzymi czerak na plecach i drugi taki sam na ramieniu. — Jakże srodze cierpi wielu tych ludzi! Gdybyż przynajmniej znali cenę cnoty cierpliwości, i cierpienia swoje Bogu mogli składać w ofierze! Często nakłaniam ich do tego, przedstawiając nieobliczone korzyści cierpienia, zniesionego z miłości ku Bogu, który hojnie im to wynagrodzi w przyszłości. — Na zakończenie naciera się maścią oczy małej gromadki, zarażonej egipskiem zapaleniem, poczem po raz pierwszy dnia tego, opróżnia się sala.

I znowu odzywa się wołanie: »Ali, otwórz drzwi!« i na nowo rozlegają się krzyki: »Ostrożnie! bo udusicie dzieci!« W jednej chwili sala zapełnia się szczelnie. Przegląd rozpoczyna się od malca, zaledwie umiejącego mówić, lecz który, prócz maści na oczy, domaga się jeszcze cukierka, »milabesse«, i za tę cenę obiecuje nie płakać! Inny wyprasza sobie kawałek naszego »bouna fino«, (chleba), co w oczach jego uchodzi za ciasteczko. Biedne dziecię!

Zapalenia oczu wiele przyczyniają zajęcia egipskiemu ambulatoryum. Przyczyną tej rozpowszechnionej choroby jest rozpalony kurz, unoszący się w powietrzu tego piaszczystego kraju pustyni, gdzie deszcz rzadkim jest gościem. Z tem łączy się jeszcze brak czystości u ubogich ludzi, którzy tak dalece są przesądni, iż myć małych dzieci w ogóle się nie odważają.

Teraz zbliża się kilka arabek, rzuca się nam do nóg i całuje ręce. Biedaczki zupełnie są ociemniałe,

lecz wyobrażają sobie, że prośbą i błaganiem wyproszą od nas oczy zdrowe. Jakże chętnie oddałybyśmy im wzrok utracony!

A oto staruszka żąda wyjęcia chwiejącego się zęba; życzeniu jej staje się zadość. Jakże uszczęśliwieni i wdzięczni okazują się ci biedni ludzie! — Na koniec, zostaje człowiek o bardzo cierpiącym wyglądzie.. Spadł on z drabiny, przyczem kawałek drzewa wbił mu się w łokieć. Opatrunek ten wiele doktorowi przedstawił trudności, i zachodzi obawa amputacyi przedramienia.

Poradziłam mu, by wyprosił sobie u Matki Bożej uzdrowienie. Zwolennicy islamu obdarzają Matkę Bożą serdecznem uczuciem, i wzywają Ją chętnie. Wiele kobiet przygotowuje się dwutygodniowym postem do święta Wniebowzięcia N. P. Wbrew wszelkim obawom, pacyent, o którym mowa, wyleczonym został. Po niejakimś czasie ukazał się znowu z dwoma pokaźnemi wiązkami świec, do ołtarza Matki Boskiej. Jakąż radość sprawił mi ten objaw wdzięczności!

Drodzy Przyjaciele i Dobroczyńcy Misyi! Gdybyście wy mogli spędzić od czasu do czasu jeden chociażby poranek w ambulatoryum naszem, obiłoby się wam o uszy tysiące próśb o bieliznę, suknie czapki!... Zdarza się często, iż biedacy prośbami swemi męczą mnie jeszcze, kiedy już nic zgoła nie mam im do dania. Wówczas wołam: »Weźcież moją suknię, kochani przyjaciele, gdyż już nic innego, dać wam nie mogę!« »Nie! nie!« brzmi jednogłośna odpowiedź, »niechaj błogosławioną będzie twa szata, i niechaj dobry Bóg zachowa ci ją jak najdłużej«!

A dopieroż, cały zastęp chłopców naszych i dziewczynek! Niezliczone są prośby, któremi mnie

zasypują: jedno chciałoby mieć kolorową szmatkę na woreczek, pragnieniem innych są paciorki, obrazki, kwiaty sztuczne, lub łakocie.

Często w nielada jestem kłopocie by nie pominąć nikogo i obdarzyć każdego bodaj drobnostką, — bo temi właśnie drobnostkami zyskujemy te dusze dziecięce dla Boga.

Zabawni są ci mali obywatele, gdy odwiedzamy ludność tutejszą w jej chatach. Wybiegają naprzeciw nas trzy, lub czteroletnie dzieciaki całują nam ręce i wołają: »Daj cukierka, a jutro będę chory!» — Dodać tutaj jeszcze muszę, iż nasi chorzy wskutek ciągłych z naszej strony nalegań jak: »Myjcie się! Dbajcie o porządek! Obwiązujcie wasze rany!« o wiele są pod tym względem rozsądniejsi niż przed 22 laty, czyli w czasie kiedy ambulatoryum nasze założonem zostało.

Niechaj mi wolno będzie złożyć tu z głębi serca dzięki drogim naszym Dobroczyńcom za bieliznę i suknie na ten cel ofiarowane, gdyż o wiele nawróconych pogan troszczyć się muszę jak matka o swoje dzieci. Bóg zapłać! przeto stokrotne za dar nawet najmniejszy, tutaj bowiem każdy zawsze znajdzie zastosowanie. Modlimy się codziennie za wszystkich dobroczyńców. i z pewnością te małe dzieciny, którym, dzięki waszej miłosiernej przyczynie, możemy przyjść z pomocą, potężnymi są rzecznikami waszymi przed tronem Boga.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SIOSTRA TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS, ZAKONNICA »CZARNA«, PRZY OPATRUNKU. (MADAGASKAR).

DWA BUDUJĄCE ZDARZENIA

Przez O. BORRELA, Misyonarza, z nad Zambezy.

W czasie pobytu mego w Misyi Ś.Ś. Aniołów w Coalane, odwiedzaliśmy z O. Arriano co wieczór, sąsiadujące z nami chaty murzyńskie. Pewnego dnia skierowała Opatrzność kroki nasze do chaty, w której zastaliśmy biedną siwą staruszkę.

Kobiecina siedziała z założonemi rękoma, (bezczynność jest na ogół całodziennem zajęciem murzynów), bardzo była zgarbiona, głowa jej zdawała się ciężyć ku splecionym na kolanach dłoniom.

Przystąpiliśmy do niej, wszczynając rozmowę o jej wnukach i prawnukach, których w owym czasie miała już sześcioro, poczem skierowaliśmy słowa nasze ku Bogu i szczęściu wiekuistemu. Zmarszczyła czoło, a w obejściu jej odbiła się pewna obojętność. Gdy pomimo to, nie zmieniliśmy przedmiotu, obojętność jej poczęła się zmieniać w oburzenie. Wobec tego wydało nam się wskazanem zaniechać poruszonego przedmiotu i, smutni wieczoru tego, powróciliśmy do naszej Misyi w Coalane.

Nie zniechęciło nas jednak niepowodzenie pierwszych odwiedzin. Powracaliśmy często do naszej staruszki, ażeby pozyskać dla nieba duszę odkupioną Krwią Pana Naszego Jezusa Chrystusa, lecz doszło do tego, iż starowina nie chciała nas wcale widywać, i kryła się przed nami ile razy zachodziliśmy do jej chaty podczas naszych wieczornych wycieczek. W końcu dobry O. Arriano oddał całą tę sprawę w ręce Matki Najśw., ja również poszedłem za jego przykładem, poczem udaliśmy się

znowu do naszej staruszki, która powitała nas ze zwykłą sobie uprzejmością!

Przyjęła medalik Niepokalanej Dziewicy, który jej darowaliśmy, i obiecała nosić, go przy sobie, naszej prośbie czyniąc zadość; to też powróciliśmy dnia tego do naszej Misyi z nadzieją pewnej wygranej.

Nazajutrz udaliśmy się ponownie do biednej staruszki, która z trudem podniosła głowę, żeby lepiej módz nas widzieć — i uśmiechnęła się do nas! Chciała zostać chrześcijanką, stać się dzieckiem Bożem, przyjąć Chrzest św. i pójść do nieba.

»Dobrze, moja poczciwa kobiecino, odrzekłem jej na to, »lecz przedewszystkiem musisz być pouczoną w wierze katolickiej«.

Poczciwa staruszka wyuczyła się katechizmu, została ochrzczoną i nosi zawsze, zawieszony u szyi, medalik Najśw. Dziewicy.

Czego nasze nie dopięły starania, tego dokonała Matka Miłosierdzia przez zetknięcie ze swym wizerunkiem wyobrażonym na medaliku.

* * *

A oto drugie jeszcze również budujące zdarzenie, wykazujące zbawienne skutki Komunii św. w pierwotnych duszach biednych murzynów.

Miałem w mojej szkółce chłopca, który odznaczał się wielką pobożnością. Przystępował co tydzień do Stołu Pańskiego i służył codziennie do Mszy św. ze wzruszającą pobożnością.

Wybrałem się dnia pewnego z nim i innymi uczniami na przechadzkę po pięknej okolicy Quelimane. Szedłem sam naprzód, a mała gromadka postępowała o kilka kroków za mną. W tem jedno z dzieci wymówiło brzydkie słowo, co ze

strony pobożnego chłopca następującą wywołało naganę:

»Zamilknij, proszę cię i nie powtarzaj więcej tych okropnych wyrazów, gdyż mam jutro przystąpić do Komunii św.«.

I winowajca zamilkł istotnie.

Mógłbym przytoczyć wam, kochani czytelnicy »Murzynka«, więcej jeszcze tego rodzaju przykładów, któreby wam dowiodły, jak dalece zaparcie się siebie, drażliwość sumienia są u murzynów owocem przystępowania do Sakramentów św., do których garną się te, ciemnotą i atmosferą egoizmu zewsząd otoczone, dusze.

Moja ucieczka przed — bożkiem.

(Opowiadanie O. Limbrocka).

Poganie czczą zazwyczaj tylko martwe bożki, ulepione z gliny, podobne kształtem do owych »ludków« ze śniegu, jakimi u nas bawią się tak chętnie chłopcy w zimie. Nikt się tutaj tych bożków nie boi, nawet kozy, które często glinianemu bożkowi, dosłownie »tańczą po głowie«. Lecz obok martwych, istnieją i żywe bożyszcza, są niemi, czasem drzewa, u stóp których składa się ofiary, czasem zwierzęta jak n. p. węże czczone, podobnie jak w Dahomeju, gdzie mają swe świątynie.

W pobliżu miasta G., przebywa krokodyl rzeczny uznany za »boskiego« i świętego, otoczony czcią ogólną. Żyje on samotnie nad kałużą, do której kobiety codziennie przychodzą czerpać wodę, żywi się zaś żabami, znajdującemi się tu w dostatecznej ilości.

Nikt nie czyni mu nic złego, ktoby się na czyn taki odważył, przypłaciłby to życiem niechybnie, bo gdyby nawet uszedł kłów krokodylich i zabił zwierza, nie uszedłby rąk jego mścicieli.

Wybrałem się raz i ja dla ujrzenia na własne oczy owego sławnego bożyszcza. Byłbym chętnie wziął strzelbę ze sobą, na ową wyprawę, by przesłać bożkowi kulkę i zedrzeć zeń piękną skórę, lecz broni tej nie posiadałem, a o wypożyczeniu i mowy być nie mogło.

Wziąłem zatem tylko sękaty kij do ręki i zbliżyłem się ostrożnie do »świętego gaju« w którym bożyszcze w całem swoim majestacie, panowało niepodzielnie. Po chwili znalazłem się, najwyżej o jakie 2 metry od krokodyla. Odbywał właśnie swą poobiednią drzemkę, lecz kiedy na przywitanie przejechałem mu lekko sękatym mym kijem po żebrach, podniósł się gniewnie i z rozwartą paszczą podążył wprost ku mnie. O walce z nim, mowy być nie mogło, gdyż najsilniejsze razy odbijałyby się o jego pancerz bez żadnego wrażenia, dlatego też nie pozostawało mi nic lepszego do uczynienia, jak umykać co sił przed »bożkiem«.

Salem, mały Kabyl sierota*).

(Dokończenie).

»— Cóż Salemie, nie poszedłbyś ty ze mną?

»— Ach! chętnie Ojcze, pójdę za tobą wszędzie, będziesz moim ojcem, a ja twojem dzieckiem, wszędzie dokąd ty pójdziesz, pójdę i ja.

Mówiąc to, drogie dziecię chwytało mi ręce, całując z wylaniem.

---

*) *»Revue Mariale«.*

»— Rozumiesz, mój biedny Salemie, że nie mogę natychmiast zabrać cię ze sobą, lecz bądź spokojny, wrócę tutaj po ciebie pojutrze.

Włożyłem mu drobny datek do ręki i wsiadłem spiesznie do przedziału, do którego mój kochany malec, wniósł za mną moje pakunki.

»— Ojcze, dwa dni to bardzo długo bez ciebie!«

Dotrzymałem wiernie, danej chłopcu, obietnicy. Skoro mnie tylko Salem spostrzegł, wychodzącego z wagonu, przybiegł do mnie natychmiast. Był bardzo blady, trawiła go przytem gorączka, ręce miał rozpalone, a gdy kaszlał, krajało się serce.

Udałem się z nim natychmiast do *Domu sierót*. Oddając go w ręce Matki Przełożonej, wyraziłem życzenie, by mi od czasu do czasu dawano znać o stanie zdrowia drogiego mego chorego. Skoro Salem ujrzał, iż odchodzę, wybuchnął płaczem.

»— Pozostań ze mną, Ojcze, nie odjeżdżaj, ja umrę wnet, zobaczysz, czuję to!

»— Muszę dziecię moje powrócić do Quali-Dadda, pozostać w ochronce nie mogę, lecz będę gorąco modlił się za ciebie.

»— Dziękuję ci, Ojcze, o! dobrze, módl się za mnie. Gdy byłem, chociaż krótko u Ojców, tam w kraju Kabylów, słyszałem często o Sidna-Aïssa, (o Jezusie Chrystusie). Wiem, że ci którzy Go kochają idą z Nim po śmierci do raju; chciałbym, żeby mnie nauczono kochać Go«.

Siostra obiecała mu przysłać jednego z sierót któryby go pouczał. Co do mnie, obiecałem Salemowi, iż odwiedzę go wkrótce.

III.

Za każdemi następnemi odwiedzinami stwierdzałem postępy nieubłaganej choroby, biedne dziecko

nikło widocznie, lecz budowało wszystkich swą słodyczą i rezygnacyą.

Aż pewnego dnia ujrzałem, spieszącego do Quali Dadda, Araba, który, rozpytawszy się o mnie, oddał mi list od Siostry. Donosiła, iż Salem ma się bardzo źle i że pragnie mnie zobaczyć.

Udałem się spiesznie do domu sierót. Kiedy stanąłem u jego łóżka, mały chory ujął mnie za ramię by mnie przyciągnąć ku sobie, gdyż głos jego bardzo był już słabym:

»— Ojcze« rzecze, kładąc mą rękę na swej piersi, »tak czarno tu u mnie wewnątrz«.

»— Co chcesz przez to powiedzieć, moje dziecię?

»— Że serce moje jest czarnem, gdyż nie jestem jeszcze *dzieckiem Bożem*. Chcę byś mi dał wodę.

»— O jakiej wodzie myślisz?

»— O chrzcie, który białą czyni duszę w oczach Boga, a po którym idzie się do nieba.

Mówiąc to utkwił we mnie błagalne spojrzenie i podniósł do ust mą rękę.

Jakże oprzeć się takiej prośbie?

Salem przyjął chrzest św. z uczuciami duszy przeznaczonej do chwały niebieskiej. Nazwałem go Leonem.

»— A więc jesteś ochrzczonym, Leonie, i czujesz się zapewnie szczęśliwym?«

»— O tak, bardzo Ojcze«, odrzekł chory, »lecz teraz chciałbym jeszcze *Chleba Bożego*«.

»— To Komunia św.« rzecze Siostra. »Jeden z jego małych towarzyszy, chrześcijanin, mówił mu o niej i od wczoraj dopomina się o nią nieustannie.

»— Co jest *Chlebem Bożym*? zapytałem Leona.

»— Ojcze, to Sidna — Aïssa, Chrystus Pan.

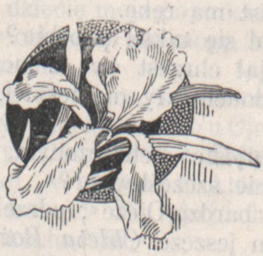
Przystałem najchętniej rzecz jasna na to pobożne żądanie. Tegoż jeszcze wieczoru przygotowałem go do

przyjęcia pierwszej Komunii św. Następnego dnia zaniosłem mu Przenajśw. Eucharystyę. Rozpromieniała na widok Hostyi świętej, blaskiem wiary i miłości twarzyczka, za chwilę skonać mającego, Kabyla. Było to światło, pochodzące z głębi duszy, a przeistaczające rysy małego chrześcijanina. Wyciągnął z łóżeczka swego wychudłe rączki do Boskiego Gościa, który go nawiedzał, a gdy Zbawiciel wstąpił do jego serca, pozostało dziecko dłuższy czas w niemym zachwycie, ze wzrokiem utkwionym w niebo.

W pół godziny potem powróciłem do niego. »— Idę do nieba, zobaczyć Pana Jezusa«, rzekł, uśmiechając się do mnie.

I jak dziecię, które usypia na sercu matki, usnął, w chwilę później, na wieki.

Uleciała ku niebiosom dusza małego Kabyla.



Redaktor odpowiedzialny: *A. Swierzyński.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni »Czasu«.
Nakładem Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Liga dzieci dla Afryki.

Przez ks. kap. L. Tychnowskiego, p. J. Zakrzewska 14 mk; 20 fen.; p. Brucka 5 mk. 15 fen.; p. Rutkowska 2 mk., p. J. Zakrzewska 10 mk. 40 fen.; p. J. Skardziukas 1 rb. 56 kop.; ks. B. Pilch od dzieci szkolnych 3 kor.; przez p. J. Kajrewina, p. Kazimierz, Władysław, Antoni, Marya i Anna Rutkowscy i p. I. Zinkiewicz 72 kop.; przez p. S. Witkiewiczównę 2 rb. 40 kop.; przez p. A. Grycewiczównę 2 rb. 40 kop.; Antoś, Waluś, Staś i Jaś B. 35 kop. i 32 h.; przez p. Kuźminównę 2 rb. 40 kop.; p. F. Kiedrawska i A. Milchert 15 fen.

Ogólna suma K. 3·32, rb. 9·83, mk. 31·90.

ZWIĄZEK MSZALNY

na rzecz misyj afrykańskich, założony przez Sodalicyę św. Piotra Klawera, a zaprowadzony kanonicznie przez J. Em. Kard. Respighi, Wik. gen. J. Świątobliwości.

1) Związek mszalny na rzecz misyi afrykańskich stanowi **300 Mszy św. co roku** odprawianych w kaplicy św. Piotra Klawera w Domu centralnym Sodalicyi św. Piotra Klawera, obecnie w Rzymie (via dell' Olmata 16).

2) Uczestnik Związku mszalnego składa **raz na zawsze** jałmużnę w kwocie **1 korony (1 mk., 50 kop., 25 cent. am.** itd.)

3) Trzysta Mszy św. odprawia się na intencyę uczestników: tak żyjących jak zmarłych.

4) Do Związku mszalnego wpisywać można też dzieci i zmarłych.

5) Udziału w korzyściach duchownych dostępuje się z chwilą złożenia wyżej wymienionej jałmużny.

6) Każdy uczestnik otrzymuje, jako dowód przyjęcia, obrazek wpisowy ze stemplem i podpisem gener. Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Wpisy i ofiary dla Związku mszalnego adresować należy:

Sodalicya św. Piotra Klawera, Kraków, ul. św. Anny 4.
„ „ „ „ **Wrocław,** Hirschstr. 33.
„ „ „ „ **Salzburg,** Dreifaltigkeitsg. 12.



Dozwólcie dziateczkom przyjść do mnie!